

Młodzież w PRL

Dyskusja prowadzona przez dr. hab. Marka Wierzbickiego (OBEP IPN w Lublinie) z udziałem prof. Jerzego Eislera (dyrektora Oddziału IPN w Warszawie), dr. hab. Joanny Sadowskiej (Instytut Historii Uniwersytetu w Białymstoku), dr. Łukasza Kamińskiego (dyrektora BEP w Warszawie)

Marek Wierzbicki: Zaczniemy od zdefiniowania pojęcia „młodzież” i zarysowania genezy tej grupy społecznej, ponieważ jest to po pierwsze, pojęcie nieostre, a po drugie, jest to grupa społeczna dosyć nowa.

Joanna Sadowska: Posprzeczałyśmy się o to, Panie Profesorze, na konferencji w Poznaniu, kiedy w swoim wystąpieniu uznałam stosowane w PRL kryteria, według których za młodzież uznawano osoby do 30. roku życia, za przesadnie rozciągające tę kategorię. Pan i większość uczestników spotkania twierdzili, że nie mam racji. Ciągle obstaję przy swoim. Według mnie, młodzież to grupa społeczna, która obejmuje ludzi dojrzałych pod względem fizycznym, ale nie pod względem społecznym, czyli tych, którzy jeszcze nie zarabiają na siebie, nie są rodzicami i nie wchodzi w inne dorosłe role, ewentualnie robią to tylko fragmentarycznie. W związku z tym, górną granicą wieku młodzieńczego jest dla mnie chwila ukończenia edukacji. Jest ona oczywiście różna, w zależności od momentu historycznego, ale maksymalnie wyznacza ją 25. rok życia, a jeśli edukacja była krótka, może być to wiek 21–22 lat. Natomiast prawie nigdy 30 czy 35, jak kiedyś chciał ZSMP. Chyba że mamy do czynienia z „wiecznymi” studentami i tzw. *bamboccioni*, których teraz widać w świecie zachodnim, czyli zjawiskiem opóźniania dorosłości m.in. ze względu na ograniczony rynek pracy. Aleksander Kamiński dostrzegał takie odstępstwo od normy już w XIX w. i stworzył pojęcie wydłużania juwenalizacji.

M.W.: A granica dolna?

J.S.: Po pierwsze, wyznacza ją osiągnięcie dojrzałości fizycznej, a po drugie, pojawienie się aspiracji do uniezależnienia swoich poglądów, postaw, uzyskania większej swobody w życiu. To jest chęć usamodzielnienia się względem rodziców, przy pozostawaniu jednak na ich garnuszku, która pojawia się w wieku 15–16 lat. Trzeba zaznaczyć, że kategoria społeczna młodzieży wyodrębniła się dosyć późno – pod koniec XIX i w początkach XX w.

Jerzy Eisler: Ale jeśli trzymać się kryterium samodzielnego zarabiania pieniędzy, to przecież dzisiaj w Polsce, a na Zachodzie już od bardzo dawna, pracują często nastolatki i zapewne większość studentów. W czasach, gdy ja studiowałem, zdarzało się to raczej rzadko. Na stałe pracowały co prawda pojedyncze osoby, ale stosunkowo wielu dorabiało, zatrudniając się dorywczo w spółdzielniach studenckich, zajmując się myciem okien, sprzątaniami itp. Ale nie pracą na etacie czy chociażby w stałym związku z instytucją, co dzisiaj jest bardzo rozpowszechnione. Czy to nie zakłóca Pani toku rozmowy? Rozumiem,

że zgadzamy się co do dolnej granicy – ok. 14–16 lat – a przedmiotem naszego sporu jest granica górna. Na własny użytek podzieliłem życie człowieka na trzy okresy: pierwsze 30 lat stanowi jego dzieciństwo i młodość, drugie 30 nazywam okresem średnim (przy czym naturalnie wszystko właściwie jest inne, gdy mamy lat 31, a inne, gdy mamy 59). I wreszcie ostatnie 30 lat, chociaż na razie to tak po prawdzie jeszcze nie jest 30, ale zwykle kilkanaście, dwadzieścia kilka lat. Jest to starość, która niekoniecznie musi być – zwłaszcza w niezbyt odległej przyszłości – przykra i ciężka. Oczywiście nie wszystko tutaj zależy od nas samych – można wszak być człowiekiem schorowanym i z niczego już nie korzystać, ale przynajmniej teoretycznie powinien to być okres korzystania z dorobku poprzednich 60 lat, kiedy się uczyliśmy, pracowaliśmy, byliśmy aktywni. Na godziwej emeryturze moglibyśmy czytać książki, oglądać filmy, spektakle, słuchać koncertów, podróżować. Jeśli mamy ochotę, zajmować się wnukami – ale właśnie jeśli mamy na to ochotę, a nie z konieczności. Dla mnie wzorem są ci wszyscy niemieccy czy amerykańscy emeryci podróżujący po świecie samolotami, autokarami z przewodnikami, mieszkający w dobrych hotelach, jadający w niezłych restauracjach, którzy tak właśnie spędzają jesień swego życia. Skoro już odwołałem się do pór roku, to chciałbym tutaj myśleć o złotej polskiej jesieni, a nie takiej listopadowej chłapie, gdy jest zimno, wieje wiatr i pojawiają się stany depresyjne. Niestety w Polsce starość jest jeszcze bardzo często właśnie taka listopadowa. Chciałbym bardzo, żeby w przyszłości była to taka piękna złota jesień ludzkiego życia. Stąd właśnie wziął się ten podział na trzy docelowo mniej więcej równe części ludzkiego życia.

Łukasz Kamiński: Sądzę, że pojawienie się młodzieży jako grupy społecznej należy wiązać z powszechnym dostępem do edukacji, który zaczął się w wieku XIX, a tak naprawdę w XX. Wcześniej też możemy się doszukiwać pewnych „protoplastów” młodzieży, ale grupy te – jak chociażby studenci – są całkowicie marginalne. Wiazałbym pojawienie się tej kategorii z wydłużeniem okresu edukacji oraz jej umasowieniem. Natomiast, jeśli chodzi o ramy wiekowe, to zgadzam się na dolną granicę, ściśle związaną z biologią. Wydaje mi się jednak, że system komunistyczny bardzo rozciągnął granicę górną. Nie było to tylko formalne wydłużanie wieku młodzieżowego do 35 lat dla działaczy młodzieżowych, lecz także chociażby umożliwienie tzw. wiecznego studiowania, czyli bycia studentem jeszcze w wieku powyżej 30 kilku lat. Należy zwrócić uwagę na to, że górna granica zależy od grupy społecznej. To znaczy, że studenci są niewątpliwie kategorią, która najdłużej utrzymuje się w definicji młodzieży. Natomiast młody robotnik – w wieku 20 lat – może mieć już nie tylko stałą i dobrze płatną pracę, lecz także dwójkę dzieci i już się z kategorii młodzieży wyrwać, podczas kiedy jego koledzy są w samym środku okresu młodzieżowego.

J.S.: Myślę, że obraz zaciemniło pojawienie się kultury masowej, młodzieżowej, do której przynależności czują się często ludzie nie będący już młodzieżą w sensie społecznym. Mają żony, dzieci, pracują i funkcjonują jak dorośli, ale słuchają muzyki młodzieżowej, ubierają się jak młodzież i czują się młodzieżą.

Ł.K.: Pytanie tylko, czy oni słuchają muzyki aktualnej młodzieży, czy z czasów, gdy sami stanowili tę grupę?

J.E.: Bardzo lubię przywoływać taką grę słów. O ile do lat pięćdziesiątych XX w. córki chciały wyglądać jak matki, młode dziewczyny marzyły o tym, żeby móc się malować, założyć buty na obcasie, to począwszy od lat sześćdziesiątych, matki zaczęły marzyć o tym, żeby wyglądać jak córki. Ta granica rzeczywiście przesunęła się, co obserwuję szczególnie w Niemczech w tzw. pokoleniu '68, buntowników końca lat sześćdziesiątych. Mam na myśli tych dzisiaj ponadsześćdziesięcioletnich „chłopców” i te „dziewczyny”. „Dziewczyny” z prostymi, rozpuszczonymi „na topielicę” włosami, które – atrakcyjne u nastolatek – u kobiet dojrzałych wyglądają dziwnie. „Chłopcy” zaś ubrani w t-shirty, rozciągnięte swetry, jeansy, ale już często łysi, siwi, brzuchaci – wyglądają jak własna karykatura. Taką „wieczną młodzież” mamy także w Polsce. Przecież nikt nie powie, że zna Jakuba Wojewódzkiego, natomiast powszechnie znany jest Kuba Wojewódzki. Czterdziestokilkuletni mężczyzna, fakt, że szczupły, dobrze utrzymany, ale dla większości młodzieży mógłby być niekiedy biologicznym ojcem. Sądzę jednak, że w rozmowie o młodzieży takie wyjątki będą nam zamazywały obraz. Znacznie łatwiej jest dyskutować o młodzieży w PRL, patrząc przez pryzmat organizacji, w których o tym, kto i w jakim wieku może do nich należeć, decydowały regulacje statutowe. Natomiast jeśli myślimy o młodzieży dzisiejszej, to jest to pojęcie nieostre i niespójne. Za młodzież uważa się np. wspomnianego Wojewódzkiego, jak i wiele „dziewczyn”, które już dawno dziewczynami w potocznym rozumieniu być przestały i niczego tu nie zmienia fakt, że niektóre z tych pań wyglądają bardzo atrakcyjnie. Przecież one same wiedzą, ile naprawdę mają lat. Nie, na ile wyglądają, tylko jaki jest ich rzeczywisty wiek.

M.W.: Wynika z tego, że jesteśmy skazani na nieco sztuczną, umowną definicję młodzieży, opartą o kryteria biologiczno-statystyczne. Dopiero wtedy możemy objąć całość tej grupy społecznej, zarysowując mniej więcej wyrażane ramy znaczeniowe tego terminu. Przejdźmy teraz do polityki władz komunistycznych wobec młodzieży w poszczególnych dekadach PRL.

Ł.K.: Moglibyśmy wyróżnić dwa okresy w polityce władz wobec młodzieży. Najogólniej rzecz biorąc, do 1956 r. władza prezentuje bardzo afirmatywne podejście do młodego pokolenia. To wynika m.in. z tego, że rozpaczliwie poszukuje grup społecznych, do których mogłaby się odwołać. Afirmatywność jest dość daleko posunięta, wyraża się nie tylko w tym, że młodzi ludzie mają otwarte ścieżki awansu, lecz także np. ogromny wpływ na funkcjonowanie uczelni czy fabryk – w okresie powojennym chyba największy właśnie w latach pięćdziesiątych. Bezpośrednio zatem wpływają na rzeczywistość. Młodzież ma też pewną samodzielność i możliwość poszukiwania własnych form aktywności na rzecz systemu. Po 1956 r. władza stopniowo, ale dość szybko odkrywa, że ta młodzież *de facto* jest zagrożeniem, a nie szansą dla systemu – i narasta nieufność. Kulminacja następuje w marcu 1968 r. Po 1970 r. dostrzegam nawrót w polityce Gierka do afirmatywności. Pojawiają się próby odwołania się do młodego pokolenia przy budowaniu „drugiej Polski”. Kolejny zwrot nastąpił po sierpniu 1980 r., kiedy systematycznie powraca się do postrzegania młodych jako potencjalnego zagrożenia. Nawet młodzież będącą po stronie systemu władze traktują tylko i wyłącznie jako dekorację. Trudno mówić o realnym angażowaniu młodych ludzi, co zresztą wynika bezpośrednio z ich postaw.

J.E.: Wydaje mi się, że jeszcze jedna rzecz warta jest podkreślenia. Tak wyraźne traktowanie młodzieży jako osobnej grupy jest charakterystyczne dla reżimów dyktatorskich, w których funkcjonuje koncepcja tworzenia „nowego człowieka”. Wiadomo, że łatwiej go stworzyć z młodzieży niż z ludzi dojrzałych. I nie jest to tylko charakterystyczne dla PRL. Zjawisko takie można zaobserwować we wszystkich państwach bloku socjalistycznego, a także w innych dyktaturach, chociażby w klasycznych reżimach totalitarnych: komunistycznym, nazistowskim i faszystowskim. Słuchając tego, co mówił Łukasz Kamiński, zastanawiałem się, czy także w ostatniej dekadzie PRL młodzież była kokietowana. Z jednej strony chyba tak. Nie zapomnę poruszających opisów zlotów ZSMP w połowie lat osiemdziesiątych, gdzie – jak czytałem wtedy w „Tygodniku Mazowsze” – miały miejsce nieprawdopodobne pijatyki i orgie – bo tak to trzeba właściwie nazwać. Był to opis całkowitej bezideowej degrengolady. Z drugiej strony, inna część młodzieży brała udział w solidarnościowych demonstracjach ulicznych, kolportowała bibułę, angażowała się w niezależne inicjatywy, takie jak Federacja Młodzieży Walczącej, Ruch Wolność i Pokój, Niezależne Zrzeszenie Studentów itp. Na tę część młodzieży rządzący PRL w praktyce już liczyć nie mogli. Zresztą niektórzy z nich co najmniej od połowy lat osiemdziesiątych w ogóle myśleli raczej o bezbolesnym podzieleniu się władzą z opozycją i jak najlepszym ułożeniu sobie przyszłości. Stąd moja wątpliwość, czy aby przypadkiem w tej ostatniej dekadzie PRL – w jakimś przynajmniej stopniu – rządzący nie spisali ówczesnej młodzieży na straty, nie chcieli „przeskoczyć” jednego pokolenia i zająć się tymi, którzy wtedy się rodzili, byli w przedszkolu, czyli z grubsza biorąc, dzisiejszą młodzieżą.

M.W.: Nie do końca zgadzam się z taką opinią. Wydaje mi się, że w polityce władz wobec młodzieży w okresie całego PRL są oczywiście jakieś elementy zmienne, ale też pewne elementy stałe. Tym elementem stałym, jest – moim zdaniem – ciągle dążenie do uzyskania wpływu na młode pokolenie i jego sposób myślenia, do wychowania go zgodnie z oczekiwaniami władzy. Oczywiście w latach pięćdziesiątych, stalinowskich, jest to dążenie do wychowania „nowego człowieka”, czystej wody komunisty, który bez zastrzeżeń popierałby zarówno ideologię marksizmu-leninizmu, jak i bieżącą politykę władzy. Zmienia się to w latach sześćdziesiątych, gdy wprowadzono kategorię „patriotyzmu socjalistycznego”, a więc gdy nastąpiła fuzja treści narodowych i treści, mówiąc bardzo umownie, komunistycznych. Ten trend obowiązywał do końca PRL, chociaż coraz mniejszy nacisk kładziono na „socjalistyczny”, a coraz większy na „patriotyzm”. Do końca PRL obowiązywał jednak – moim zdaniem – stalinowski model (nazywam to modelem ZMP) w patrzeniu na nowe pokolenie. Może w mniejszym stopniu jeśli chodzi o cele, ale w równym pod względem stosowanych metod i form pracy. Owe narzędzia i metody, które wypracowano w latach stalinowskich, właściwie stworzyły – obowiązujący chyba do końca istnienia Polski Ludowej – schemat traktowania młodzieży i osiągania celów założonych wobec niej. Mieszczą się w nim organizacje młodzieżowe tworzone na wzór ZMP, a władza z uporem maniaka, mimo wielu zmian w polityce, w każdej dekadzie wraca do tego modelu. Dlatego nie mogę się do końca zgodzić z tym, że w latach osiemdziesiątych rządzący odpuścili sobie ówczesną młodzież. Raczej wygląda na to, że chcieli odbudować stalinowski model ruchu

młodzieżowego, oczywiście już w innych warunkach zewnętrznych, tworząc np. Centralną Komisję Współdziałania Związków Młodzieży, próbując wzmocnić oficjalne organizacje na czele z ZSMP, które – tak jak w poprzednich dekadach – miały być narzędziem partii. Oczywiście skuteczność tych działań była o wiele mniejsza niż w przeszłości, ale widać wyraźnie, że ta władza nie była w stanie wypracować już niczego nowego.

J.E.: To może doprecyzuję, o co mi chodzi, bo chyba się nie zrozumieliśmy. Otóż w kwestii organizowania młodzieży jest między nami absolutna zgoda. Te koszarne zloty, o których przed chwilą opowiadałem, prawdopodobnie niewiele się różniły (poza standardem) od takiej kursokonferencji czy rajdu ZMP w 1953 r. Natomiast w latach pięćdziesiątych młodzież niezrzeszona – z punktu widzenia władzy – o ile nie liczyć rozmaitych organizacji konspiracyjnych, nie stanowiła większego problemu. Można ją było wyśmiać, jak bikiniarzy i „nieprzystosowanych”, a uznanych przez władzę za najgorszych pozamykać w więzieniach. Można było ją wreszcie po prostu ignorować, jak część młodzieży wiejskiej. Natomiast w latach osiemdziesiątych ta młodzież oporna czy też wroga stanowiła już zjawisko masowe, liczone w milionach. Były to czasem niemal całe uniwersytety, licea, w których nie działały żadne reżimowe organizacje młodzieżowe albo co najwyżej grupka aktywistów. Nie można było pozamykać ich wszystkich w więzieniach, zignorować ani po prostu udawać, że ich nie ma. Nie można też było ośmieszać i wyśmiewać większości. Chodziło mi o to, że grupa niezrzeszonych była w latach osiemdziesiątych tak wielka, że władza nie wiedziała, co z nią zrobić. Stąd ta moja koncepcja „przeskoczenia pokolenia”, uznania przez rządzących w latach osiemdziesiątych, że ta generacja młodzieży jest dla nich po prostu stracona. Wydaje mi się, że zrozumieli, iż mają przeciwko sobie 2–3 miliony młodych ludzi i tej wojny z nimi nie mają szansy wygrać. Być może uznali, że w fabrykach, na uczelniach, w szkołach są przegrani, ale jeżeli będą dobrze pracować, to za 15–20 lat będą w stanie stworzyć nową socjalistyczną młodzież z pokolenia, które w latach osiemdziesiątych było małymi dziećmi. Jest to z grubsza biorąc to pokolenie, które w tej chwili ma dwadzieścia kilka lat. Oczywiście PRL wkrótce się skończyła i żadnego następnego socjalistycznego pokolenia młodzieży już nie było.

Ł.K.: Do tego, co powiedział prof. Eisler, chciałbym jeszcze dodać, precyzując swoją wcześniejszą wypowiedź, na czym polega to „odpuszczenie”. Władza godzi się z tym, że poniosła pewną klęskę ideologiczną. Zwróćmy uwagę na dwa przykłady: tolerowanie muzyki młodzieżowej i subkultur młodzieżowych. Jest to zupełnie inna sytuacja w porównaniu z okresem stalinowskim czy nawet z latami siedemdziesiątymi (*vide*: polityka władzy wobec hippisów). Było niemożliwe, żeby młodzieży pozwalać na pewne formy samodzielnego działania. To oczywiście się działo, ale wbrew władzy. Natomiast w latach osiemdziesiątych odbywało się już za jej cichym przyzwoleniem. Nieprzypadkowo tolerowano Jarocin. Przejawem tej tendencji jest również całkowita zmiana polityki władz wobec ruchu oazowego. W latach siedemdziesiątych dążyły one do ograniczenia, wręcz likwidacji poszczególnych obozów, a w latach osiemdziesiątych – już tylko monitorowały to zjawisko, bez prób jego likwidacji. Władza godzi się na to, że znaczna część młodzieży wyrzywa się spod nadzoru. Wydaje się, że jednak woli to, niż żeby ta cała młodzież

angażowała się bezpośrednio po wrogiej stronie, w konspiracji młodzieżowej itd. Jeżeli zaś chodzi o to wychowywanie sobie działaczy, to wtedy chyba nastąpiła zmiana polegająca na tym, że władza nie potrzebuje już masowego ruchu, ale garstki sprawdzonych ludzi. Oczywiście nawet w stanie wojennym takich działaczy ma przy sobie. Schodząc na poziom szczegółowy, chciałbym przypomnieć akcję „Awangarda XXI w.” z 1988 r. Zainwestowano w nią ogromne pieniądze, aby przyciągnąć grupę inteligentnych młodych ludzi, których wybierano w liceach, na studiach. Zafundowano im bardzo atrakcyjne, przynajmniej w mniemaniu władzy, obozy. Oferta skierowana do tej młodzieży była dwojaka. Po pierwsze, rzeczywiście na tych obozach toczono otwarte dyskusje, poruszano dowolne problemy. Moderatorami byli bardzo inteligentni działacze partyjni, nie posunięto się co prawda do zapraszania kogoś z opozycji, ale rozmawiać można było o wszystkim. Po drugie, na tych obozach młodzież miała nieskrępowany dostęp do pornografii na wideo i to też chyba było jakąś taką żenującą próbą urozmaicenia, uatrakcyjnienia tej akcji. Była to ostatnia próba pozyskania sobie tej awangardy, wąskiej grupy, która z różnych powodów – albo z rzeczywistego przekonania, albo z cynizmu – gotowa była stanąć po stronie władzy.

M.W.: Aby jednak nie patrzeć na to zjawisko jednostronnie, trzeba powiedzieć, że młodzież miała na tych obozach też nieograniczony dostęp do komputerów, uczyła się informatyki.

Ł.K.: Tak, przeznaczono na to gigantyczne środki, to były miliardy złotych, za które m.in. zakupiono sprzęt.

M.W.: Ale akcja ta objęła osiem tysięcy osób, było więc to zjawisko dosyć marginalne. W każdym razie nie przyniosło spodziewanych rezultatów.

J.S.: Zastanawiam się jeszcze, skąd ta nieufność do młodzieży w latach sześćdziesiątych, w czasach Gomułki. Czy dostatecznie wyjaśnia ją rok 1956 i zaangażowanie studentów, czy jest jakieś drugie dno? Być może przyczyny znowu trzeba poszukać w osobowości Gomułki, która – jak wiadomo – na wielu dziedzinach życia odcisnęła piętno. Ponoć towarzyszył Wiesław był nieufny wobec młodzieży i jej organizacji, co tłumaczono m.in. jego złymi osobistymi doświadczeniami z młodości. Bał się młodzieży, bał się jej zainteresowania polityką. Wołał, żeby zajmowała się sprawami zupełnie powszednimi. Jako I sekretarz PZPR uważał, że rewolucja się już skończyła i nie chciał, aby młodzież stawiała sobie jakieś wielkie wyzwania. Lata sześćdziesiąte miały być okresem stabilizacji.

M.W.: Myślę, że dużą rolę odegrał rok 1956 i ówczesna postawa młodzieży. W dokumentach oficjalnych przyznawano, że stanęła wtedy na czele ruchu społecznego i bardzo często kierowała nim niekoniecznie w sposób akceptowany przez władzę. To był dla władz wstrząs, który skłonił je do likwidacji ZMP. Natomiast Gomułka uważał rozwiązanie tej organizacji i wprowadzenie tzw. polskiego modelu ruchu młodzieżowego, czyli ograniczonego pluralizmu, przynajmniej w wymiarze organizacyjnym, za największy błąd, jaki popełniono w 1956 r.

J.E.: Dodałbym jeszcze jeden istotny czynnik: awans materialny, cywilizacyjny. Polska z 1955 r. i Polska z 1965 r. to nie tylko dwa różne byty pod względem politycznym, ale również pod względem cywilizacyjnym. Nie tylko dlatego, że telewizja była już wtedy dość rozpowszechniona, lecz także dlatego, że doko-

nywał się wówczas pierwszy etap motoryzacji kraju – za sprawą motocykli, a także samochodów krajowej produkcji marki Mikrus, Syrena, Warszawa oraz importowanych z krajów „demokracji ludowej”. To oczywiście jeszcze nie było gierkowskie „bogaćcie się”, ale stwarzano młodzieży szansę na „małą stabilizację”. Budowniczości Nowej Huty, działacze ZMP, w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych żyli bardzo skromnie. Nie tylko robotnicy nie chodzili do kina – zetempowcy też nie, bo kina po prostu tam nie było, nie było właściwie niczego. Dziesięć lat później było już znacznie lepiej, choć nie twierdzą, że wszystko było w porządku. W dalszym ciągu powszechną rozrywką było picie wódki w hotelach robotniczych, ale te hotele wyglądały już nieco porządniej. Nie było już tak, że jeden kran przypadał na 180 mężczyzn, jak to często bywało w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych. Ten niewątpliwy awans cywilizacyjny też odgrywał pewną rolę. W latach sześćdziesiątych młodzi ludzie, mimo wszelkich różnic ekonomicznych między Polską a krajami kapitalistycznymi, chcieli wyglądać jak ich rówieśnicy na Zachodzie. Kształtowaniu i utrwalaniu postaw tego typu sprzyjały amerykańskie filmy, telewizja, zagraniczne stacje radiowe na czele z Radiem Luxemburg, pewne „uchylenie” granicy, szczególnie widoczne w Warszawie i w miastach portowych. W Polsce pojawiły się pierwsze jeansy. Jeszcze w połowie lat sześćdziesiątych była to rzecz bardzo rzadka i luksusowa. Dekadę później wyglądało to już inaczej, podjęto nawet produkcję polskich jeansów. Można dyskutować o ich jakości, ale ktoś jednak zauważył, że jest takie zapotrzebowanie.

Ł.K.: Dodam, że głównie we Wrocławiu.

J.E.: Zastanawiając się nad przełomem roku 1956 i zmianą w podejściu władz do młodzieży, musimy też wspomnieć o wewnętrznych mechanizmach systemu. Trzeba pamiętać o jego postępującym kostnieniu. Młodzież z natury rzeczy w pewnych ramach przestawała się mieścić.

M.W.: Niezauważenie przeszliśmy do kwestii postaw młodzieży wobec oferty władzy, wobec rzeczywistości społeczno-politycznej PRL. Jaki był – Państwa zdaniem – udział młodzieży w życiu społeczno-politycznym, jaka była jej odpowiedź na ofertę władzy?

J.S.: Podstawową trudnością jest tutaj niemożność wyodrębnienia w PRL czegoś takiego, jak zaangażowanie polityczne w sensie czystym. Zwłaszcza w przypadku młodzieży. Jeśli ktoś jechał na szkolenie ZSMP, na którym miała być impreza z alkoholem, tańcami, gdzie miał spotkać znajomych, to była to działalność polityczna *sensu stricto* czy nie? Czy można mówić o autentycznym zaangażowaniu politycznym? Na dobrą sprawę, gdzie się nie obejrzymy, dokonywano podobnych zabiegów łączenia sfer aktywności – moim zdaniem, celowo i świadomie. Najpierw był to chwyt ze strony władzy, a potem młodzież nauczyła się wykorzystywać takie okazje do rozrywki. W środowiskach nastawionych opozycyjnie jednoznaczne zaangażowanie polityczne widać wyraźniej.

J.E.: Pójdę krok dalej. Mało kto pamięta, że Festiwal Artystyczny Młodzieży Akademickiej w Świnoujściu odbywał się przy formalnym i materialnym wsparciu władz. Tymczasem do naszych czasów przetrwała legenda tamtych festiwali jako imprez o charakterze ewidentnie antykomunistycznym, opozycyjnym. Jeżeli np. w 1969 czy 1970 r. na zakończenie koncertu kilka tysięcy ludzi

na melodię *Glory, Glory Alleluja* śpiewa „Wiesław, Wiesław, ale szuja”, to ma to przecież swoją określoną wymowę. Nawet jeżeli było to coś na kształt młodzieżowego żartu, happeningu, to ewidentnie nie była to przecież manifestacja poparcia dla I sekretarza u schyłku jego rządów.

M.W.: Problem polega tu chyba na tym, że sytuacja młodzieży jest odbiciem sytuacji całego społeczeństwa, które żyło przecież w warunkach systemu totalitarnego czy też autorytarnego. W każdym razie takiego, który narzuca społeczeństwu już nie tylko wzorce w życiu publicznym, ale nawet – do pewnego momentu – w życiu prywatnym. W związku z tym, organizacje młodzieżowe czy instytucje zajmujące się młodzieżą również realizują interesy władzy, a nie młodzieży. Poza tym stwarzają atmosferę nacisku, która powoduje, że młodzi ludzie wstępują do tych organizacji masowo. W związku z tym obok rzeczywistych zwolenników władzy większość członków stanowią ludzie przypadkowi, którzy trafili tam z różnych powodów – najczęściej nieideowych.

J.E.: Jeden z moich kolegów wspominał, jak to wychowawczyni w pierwszej klasie liceum zapytała uczniów: „kto nie chce należeć do ZMS, ręką do góry. Dziękuję wam bardzo za zaufanie. Cała klasa jest zapisana do ZMS”.

M.W.: Jest to kontynuacja wspomnianego modelu ZMP, w którym postawiono bardzo ambitne cele statystyczne: miała to być masowa organizacja, w związku z czym należały do niej dwa miliony młodzieży. Ogromna większość nie chce jednak być w organizacji, nie utożsamia się z jej celami. Ten model potem powiela się w poszczególnych dekadach, do końca PRL.

J.S.: Kiedy komunizm przestał być rewolucyjny, nie pociągał już młodych ludzi i ich zaangażowanie polityczne mogło być tylko środkiem do realizacji innych celów. Natomiast czym innym było zaangażowanie społeczne. Zawsze w młodym pokoleniu jest pewien odsetek ludzi z żyłką społecznikowską, którzy zaangażują się w politykę, turystykę, sport czy kulturę i podejrzewam, że jest on podobny w różnych okresach. Po prostu tacy ludzie się rodzą, są w taki sposób wychowywani w domach i zawsze sobie jakieś pole aktywności znajdują, a ponieważ w PRL nie było możliwości działania na własną rękę, nie było organizacji pozarządowych, to duża część z nich znajdowała sobie miejsce w oficjalnych organizacjach politycznych. Natomiast ogół młodzieży najbardziej interesowało życie kulturalne.

M.W.: Zresztą we wszystkich okresach PRL, we wszystkich organizacjach młodzieżowych główne zainteresowania młodzieży ogniskowały się na tematyce kulturalno-rozrywkowej.

J.E.: To dzisiaj zamazuje trochę obraz. Kiedy Jan Pietrzak, Marcin Wolski, Maciej Zembaty czy inni twórcy wspominają kabarety studenckie, studenckie życie artystyczne z lat sześćdziesiątych czy z początku siedemdziesiątych, to chcąc nie chcąc tracą często z pola widzenia aspekt polityczno-ideologiczny, który przecież był obecny. W pełni się z Panią zgadzam, że nie był decydujący, ale ta „czapa” na górze – polityczna i ideologiczna – zawsze istniała. Studencki kabaret mógł być prawie niezależny, klub młodzieżowy mógł funkcjonować bardzo prężnie, a studenckie biuro podróży organizować interesujące wyjazdy zagraniczne, ale gdzieś tam na górze zawsze był jednak bardzo poważny towarzysz działający na „odcinku młodzieżowym”, który kontrolował, żeby to wszystko było tak jak należy, zgodnie z aktualną linią partii.

J.S.: Myślę, że traktowano to jako „wymianę” korzystną dla obu stron. Władza wolała zostawić pewien obszar samodzielności tam, gdzie jednak miała jakąś kontrolę i wiedziała, że to są „swoi ludzie”, którzy nie przekroczą pewnych granic. Dla młodzieży zaś była to często jedyna możliwość zajmowania się kulturą, więc obie strony w jakimś stopniu były zadowolone.

M.W.: Mówimy o młodzieży w organizacjach oficjalnych, ale mamy też w PRL młodzież angażującą się w różnego rodzaju działania opozycyjne, wymierzone przeciwko władzy. Uznaje się, że właściwie we wszystkich kryzysach politycznych w PRL młodzi byli grupą, która nadawała ton wydarzeniom, stanowili ogromną większość uczestników, a zarazem ich siłą napędową.

J.E.: Jest to psychologicznie zrozumiałe. Młody człowiek zwykle nie dźwiga ciężaru poprzedniej klęski. Znamy to z XIX w.: żeby wybuchło kolejne narodowe powstanie, musiało dojrzeć następne pokolenie. Ci, którzy pamiętali klęskę 1831 r. i represje popowstaniowe, jakoś nie mieli ochoty ani siły znowu zbuntować się przeciwko caratowi. Dopiero gdy dorosło nowe pokolenie, mogło wybuchnąć powstanie w styczniu 1863 r. Z podobną sytuacją mieliśmy do czynienia w PRL, tyle tylko, że występowało wówczas zjawisko swobodnego „skrócenia” pokolenia. Zwykle w demografii przyjmuje się, że pokolenie obejmuje okres 20–25 lat, tak aby mogła występować relacja: dziadkowie – rodzice – dziecko. Tymczasem w PRL mieliśmy do czynienia z pokoleniami kilkunasto-, a niejednokrotnie nawet kilkuletnimi, gdzie oczywiście o żadnym biologicznym macierzyństwie czy ojcostwie mowy być nie mogło. To nie tylko pokazuje, jak wielkie było to przyśpieszenie, ale jest to także dowód na to, że w zamkniętym społeczeństwie dość słabo przekazuje się doświadczenia z pokolenia na pokolenie. Sądzę, że młodzi ludzie w 1956 r. mieli mniejszą niż nam się dzisiaj wydaje wiedzę o powstaniu warszawskim i anty-kowskich represjach po 1944 r. Wiedzieli z grubsza, że była „bezpieka”, aresztowania, tortury i deportacje w głąb Związku Radzieckiego, ale tak naprawdę niewiele więcej – właściwie nic konkretnego. Podobnie w 1968 r. wiedza o Poznaniu '56 i o posłaniu czołgów na ulice przeciwko manifestantom była prawie żadna. Tak też było w kolejnych „polskich miesiącach”. Za każdym razem musiała powstać nowa grupa, nieobciążona traumą klęski, aby doszło do kolejnego wybuchu społecznego protestu. W dużym stopniu siłą napędową w 1989 r. wcale nie byli ludzie „Solidarności” z lat 1980–1981, ale osoby z tzw. drugiego NŻS, ludzie z drugiej „Solidarności”, robotnicy, którzy dorosli w latach osiemdziesiątych i byli filarami strajku w 1988 r. No, i mamy nowe pokolenie po ośmiu latach! Oni osiem lat wcześniej byli dziećmi, uczniami szkoły podstawowej, ale w 1988 r. mieli już ok. 20 lat i byli aktywni w czasie dwóch fal strajkowych. To głównie oni blokowali bramy strajkujących zakładów. Na okładce któregoś z zachodnich tygodników pojawiło się wtedy znane zdjęcie: młody, długowłosy chłopak siedzi na bramie Stoczni Gdańskiej z flagą z napisem „Solidarność”. W żadnym razie nie mógł on wziąć udziału w strajku w roku 1980.

J.S.: Wracamy więc do kwestii, które rozpatrywaliśmy na początku. Młodzież jest organizatorem buntów także dlatego, że ma mało do stracenia, nie ma rodzin na utrzymaniu. Sytuacja, kiedy człowiek jest odpowiedzialny za kogoś innego, bardzo utrudnia angażowanie się w ryzykowne akcje.

J.E.: Zawsze dodaję trzeci czynnik: szybciej się biega, gdy ma się lat 20 niż 50. Wtedy też dalej się rzuca kamieniami. Kiedy dochodzi do walki wręcz z młodymi milicjantami, większe szanse ma się w wieku lat 20 niż 50. Ten czynnik jest też bardzo ważny i dlatego historia nie zna powstań, buntów czy rewolucji sześćdziesięciolatków. Zna wyłącznie bunty, rewolucje, powstania, zamieszki i starcia organizowane przez ludzi młodych. Starsi mogą być wodzami, liderami, przywódcami, ideologami, ale to nie oni stoją z kamieniami na barykadach.

Ł.K.: Wróćmy jeszcze do kwestii zaangażowania i oporu młodzieży wobec władzy. Chciałbym zwrócić uwagę na to, że podobnie jak w przypadku innych grup społecznych, czy nawet społeczeństwa jako całości, to władza w dużym stopniu definiuje, co jest oporem, a co jest zaangażowaniem. To oczywiście nam, historykom, utrudnia później wnikliwą analizę. Podstawową miarą zaangażowania była dla władzy po prostu liczebność organizacji młodzieżowych. Nawet w latach osiemdziesiątych wyglądało to nienajgorzej dzięki mechanizmom, o których mówił prof. Eisler, czyli zapisywaniu całych szkół, członkostwa zbiorowego „na krzyż”, tzn. kiedy wstąpiło się do jednej organizacji, to okazywało się, że to oznacza automatycznie członkostwo w trzech innych. Niestety, to istota PRL. Potem trudno to przełożyć na rzeczywiste zaangażowanie. Podobnie było z oporem. Władza często tak definiowała zjawiska, które w zamierzeniu ich autorów wcale nie miały na celu sprzeciwiania się władzy. Szczególnie w środowisku kultury młodzieżowej, gdzie teatry czy kabarety dopiero z czasem dowiadywały się, że stoją po drugiej stronie barykady i to władza im mówiła, że są przeciwko niej, a oni u źródeł swojej działalności nie mieli zamiaru, żeby ten opór stawiać. Sądzę, że mimo tych trudności można – wprawdzie bardzo grubą kreską – zarysować pewne zjawisko. Do 1956 r. mamy do czynienia z oporem na dużą skalę, działa blisko 1000 antykomunistycznych organizacji młodzieżowych, konspiracyjnych, a także z rzeczywistym zaangażowaniem młodzieży w działania władz. W latach 1956–1980, zaryzykowałbym twierdzenie, że dominująca staje się trzecia postawa, czyli przystosowanie do systemu. Jednoznaczne zaangażowanie i jednoznaczny opór stają się marginalne. Po 1980 r. mamy już zjawisko bardziej jednostronne, tzn. wyróżniającą się postawą jest opór i nie ma tego równoważnika, jakim w latach pięćdziesiątych było w miarę powszechne zaangażowanie się po stronie władz.

M.W.: Wiemy dobrze, że pomimo wszystkich wysiłków, które przez całe czterdziestopięcioletnie władza podejmowała na tzw. odcinku młodzieżowym, generalnie jej polityka wobec młodych zakończyła się niepowodzeniem. Ogrom sił i środków, które przeznaczano chociażby na funkcjonowanie oficjalnych organizacji młodzieżowych, nie przyniósł rezultatów w postaci wychowania na szerszą skalę ideowych komunistów czy przynajmniej zwolenników obozu rządzącego. Jakże zatem były przyczyny niepowodzenia polityki władz komunistycznych wobec młodzieży?

Ł.K.: W miarę kostnienia system stawał się coraz mniej atrakcyjny dla młodzieży, pomijając nawet jego stałą czy raczej wzrastającą nieatrakcyjność ideologiczną. Ważnym elementem, jak sądzę, w rozpatrywaniu tej ostatecznej porażki jest to, że w pewnym momencie system przestał już kreślić jakiegokolwiek perspektywy dla młodzieży. Moim zdaniem, charakterystyczne jest to, że postawa

młodzieży wobec systemu w ciągu lat osiemdziesiątych się zaostrzała. Młodzież w 1988 r. była dużo radykalniej nastawiona niż w 1981 r. Choć na pierwszy rzut oka wydaje się nam, że niekoniecznie tak powinno być, że ostrzejsze postawy powinny raczej pojawiać się w okresie rewolucji „Solidarności”. Zjawisko to należy chyba wiązać z tym, że te kolejne krótkie pokolenia młodzieży, o których mówił prof. Eisler, po prostu przestawały widzieć dla siebie jakąkolwiek szansę wewnątrz systemu. Nie tylko na kariery wewnątrzsystemowe, ale w ogóle na jakiegokolwiek sensowne ułożenie sobie życia. To oczywiście też wiązało się z kolei ze wzrostem oczekiwań, na co wpływ miały porównania z Zachodem. Należy zwrócić szczególną uwagę na to, że w drugiej połowie lat osiemdziesiątych system nie miał młodzieży absolutnie nic do zaoferowania. Mam przed sobą badanie CBOS z drugiej połowy lat osiemdziesiątych. W 1986 r. 24 proc. młodych ludzi uważa, że system nie powinien dalej trwać, 59 proc., że trzeba dać mu jeszcze szansę. Dwa lata później mamy 43 proc. za kontynuowaniem socjalizmu, a 45,5 proc. opowiadających się za skończeniem tych eksperymentów. Jest to bardzo wyraźna, skokowa zmiana. Oczywiście w tych badaniach jest wiele innych czynników, które potwierdzają to, że nawet w okresie od 1983 do 1988 r. nastąpiła radykalna zmiana deklarowanych przez młodzież postaw w stosunku do systemu. Mimo że opozycja w tym czasie systematycznie słabnie w kraju, że może też sama w sobie nie ma wystarczająco atrakcyjnej oferty. Młodzież po prostu nie widzi już niczego, co mogłaby robić w kraju.

J.S.: Przyczyny niepowodzenia polityki wobec młodzieży są takie same, jak przyczyny niepowodzenia polityki komunistycznej w ogóle. Z tym, że w przypadku młodzieży to wszystko było „bardziej”, ponieważ młodzież jest bardziej wrażliwa, bardziej wyczulona na fałsz, wyraźniej demonstrowuje swoje niezadowolenie. Ale wszystko, co uznamy za słabość systemu komunistycznego, miało też wpływ na odrzucenie go przez młodzież.

M.W.: Chciałby zwrócić uwagę na wpływ rodzimej kultury, która sprawiała, że młodzi stawali się odporni na ofertę ideologiczną władzy. Oczywiście, biorąc też pod uwagę wpływ niepowodzenia bieżącej polityki rządzących. Mówiąc o rodzimej kulturze, mam na myśli wpływ kultury chrześcijańskiej i Kościoła katolickiego oraz oddziaływanie tradycji patriotycznej, tej nieoficjalnej w okresie PRL, przekazywanej przez rodzinę. Jeżeli chodzi o wpływ Kościoła na postawy młodzieży, w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych nastąpiły dość zaskakujące zmiany. Jeszcze na początku lat siedemdziesiątych ks. prymas Stefan Wyszyński dostrzegał trend laicyzacyjny, co wynikało z przemian cywilizacyjnych w ogóle, jako czynnik zmniejszania religijności młodych. W odpowiedzi na to wraz z episkopatem sformułował program wychowawczy, w którym kluczową rolę odgrywały wspomniane oazy, różne duszpasterstwa, ruch pielgrzymkowy, niezależne harcerstwo. Program ten okazał się rzeczywiście skuteczny. Bardzo ważną rolę odegrał tu Jan Paweł II, który jako papież stał się, można powiedzieć, idolem młodego pokolenia Polaków w latach osiemdziesiątych. To właśnie kontrastowało z coraz większą niechęcią młodzieży do rządzących. Kościół uzyskał przewagę nad władzą, w dużym stopniu przeciągając młodzież na swoją stronę. Drugie zjawisko to siła tradycji patriotycznej przekazywanej w rodzinach, która powodowała, że mimo wieloletnich wysiłków polityki propagandowej władzy podkreślającej wątki historii Polski XX w. związane

z ruchem komunistycznym czy z polityką Związku Radzieckiego, okazało się, że młodzi wciąż bardziej cenili bitwę pod Monte Cassino, powstanie warszawskie czy bitwę o Anglię niż bitwę pod Lenino czy o Berlin. Można więc powiedzieć, że siła rodzimej kultury również przyczyniła się do niepowodzenia polityki rządzących.

J.E.: Istotne były też zmiany na uczelniach wyższych, zwłaszcza na uniwersytetach, na fakultetach historycznych, socjologicznych, polonistycznych. W okresie stalinowskim tacy luminarze polskiej historiografii, jak Henryk Wereszycki czy Władysław Konopczyński zostali po prostu wyrzuceni z uniwersytetów, zakazano im wykładania, a na ich miejsce przyszli młodzi wykładowcy, dynamiczni, ideowi, bezgranicznie oddani nowej władzy. W tej sytuacji młodzież nie miała skąd dowiedzieć np. o Katyniu. Niewiele lepiej było w latach sześćdziesiątych, w okresie gomułkowskim. Jakościowa zmiana nastąpiła dopiero w latach siedemdziesiątych, nie mówiąc już o okresie późniejszym. W 1976 r. nasza starościna roku, dzisiaj znana profesor, specjalistka od XVI–XVII w., Teresa Chynczewska-Hennel, kiedy prof. Marian Wojciechowski na wykładzie powiedział: „i potem była znana państwu sprawa katyńska, po której nastąpiło zerwanie stosunków między rządem polskim w Londynie i rządem radzieckim”, podniosła rękę i powiedziała: „Panie profesorze, my właśnie nie za bardzo to znamy, może by pan profesor zechciał nam to wyjaśnić”. To był piąty rok studiów historycznych na Uniwersytecie Warszawskim. On wówczas powiedział coś takiego: „Proszę państwa, jeżeli Stalin wymordował 36 tys. [dziś wiemy, że ta liczba jest znacznie zawyżona] marszałków, generałów, admirałów, oficerów Armii Czerwonej, to na pewno kilkanaście tysięcy [dzisiaj wiemy, że trochę więcej] polskich oficerów wrogiej armii, zupełnie odmiennej ideologicznie, nie stanowiło dla niego żadnego problemu”. Odniesienie do tego wydarzenia znajduje się w dziennikach Józefa Tejchmy. Tego dnia wieczorem brał udział w spotkaniu towarzyskim z prof. Wojciechowskim, który w gronie kilku zaprzyjaźnionych światłych członków partii, inteligentów, powiedział: „Dzisiaj mnie właśnie studentka zapytała o to i co ja miałem powiedzieć? Możemy naszej młodzieży kłamać? A przecież trzeba coś z tym zrobić, żeby nie budzić w nich postaw antyradzieckich”. Dziesięć lat później w tym samym budynku Uniwersytetu Warszawskiego na fakultecie historii o Katyniu dyskutowano w taki sam sposób jak, dajmy na to, o Palmirach, bez całej tej otoczki tajemniczości. Natomiast my nie wiedzieliśmy, co spotka Lenę za jej śmiałość. Zdaje się, że nie otrzymała etatu na uniwersytecie i w końcu razem ze mną wyłądownała na stypendium doktoranckim w Instytucie Historii PAN. Spotkały ją nieprzyjemności za zupełnie niewinne z dzisiejszego punktu widzenia, ale wtedy najbardziej obrazoburcze, pytanie. Myślę, że wraz z upływem czasu młodzież po prostu coraz więcej wiedziała. Były przecież książki i czasopisma z drugiego obiegu. Ludzie, którzy studiowali na początku lat osiemdziesiątych, byli już dużo mądrzejsi, a ci, którzy studiowali w drugiej połowie dziesięciolecia, wiedzieli jeszcze więcej. Takie nazwiska, jak Hannah Arendt, Zbigniew Brzeziński czy Carl Friedrich przy najmniej na studiach historycznych, socjologicznych czy naukach politycznych, były na ogół znane. Pamiętam zaś, że jak mnie o nich mówiono na studiach historycznych, to było to jak wejście do bursztynowej komnaty, coś zupełnie nieprawdopodobnego.

M.W.: Warto jeszcze zwrócić uwagę na znaczenie masowej kultury młodzieżowej. To zjawisko powodowało, że młodzież tworzyła własny wartości, system ocen, opinii, własną muzykę, język czy modę. Co więcej, jej kultura stawała się coraz bardziej ekspansywna, zaczęła być konkurencyjna wobec oficjalnej oferty kulturalnej czy wychowawczej. Lata siedemdziesiąte są okresem przełomowym. Wtedy właśnie masowa kultura młodzieżowa zaczęła wkraczać do sfery publicznej, do szkół. To było widać chociażby w ubiorze uczniów, który się zmieniał w latach siedemdziesiątych. Bodajże w 1972 r. uczennice otrzymały zgodę na noszenie jeansów w szkole, co było nie do pomyślenia kilka lat wcześniej.

J.E.: Na noszenie spodni w ogóle.

M.W.: Wcześniej, z wyjątkiem okresów bardzo silnych mrozów, było to zakazane.

J.E.: Pamiętam, że w pierwszej klasie liceum na godzinie wychowawczej (w drugiej połowie lat sześćdziesiątych), gdy na dworze był mróz minus 15 czy minus 20 stopni, a wszystkie moje koleżanki były w minispódniczkach i czarnych fartuszkach szkolnych z białymi kołnierzykami, jedna z dziewczyn zaczęła się skarżyć, że chciałyby chodzić do szkoły w spodniach, ponieważ marzną. Koleżanki ją poparły, a nasz wychowawca odpowiedział: „Skoro jest wam zimno, zakładajcie ciepłe majtki”. Klasa zaczęła się śmiać, ale historia ta potwierdza fakt, że z czasem nastąpiła istotna zmiana. Dodam, że chłopcy mogli chodzić do szkoły wyłącznie w ciemnych spodniach i ciemnych swetrach. Ciemne tzn. w praktyce granatowe, czarne, ciemnoszare. Jeżeli dzisiaj narzekamy na współczesną polską szkołę, to dobrze jest pamiętać, że listę osób, które doprowadziły do tego, z czym obecnie mamy do czynienia, otwiera minister Jerzy Kuberski¹. To on pozwolił uczennicom przychodzić do szkoły w biżuterii, malować się, stroić, a chłopcom nosić długie włosy. Nie jestem przy tym wcale przekonany, że trzeba było sztywno trzymać się tego wszystkiego, co było – mówiąc w wielkim uproszczeniu „szkoły opresyjnej” – ale nie sądzę też, aby celem kolejnych reformatorów był niewątpliwie upadek autorytetu polskiej szkoły.

M.W.: Przeszliśmy zatem do porównania młodzieży z czasów PRL z młodzieżą współczesną. Czy możemy powiedzieć, na ile młodzież z PRL różniła się od dzisiejszej, czy miała swoją specyfikę?

J.S.: Kiedy dzisiaj rozmawiam ze studentami na temat młodzieży z ostatnich dekad, pytam ich, czy przypadkiem nie czują się tak, jak młodzież na Zachodzie w latach sześćdziesiątych. Czy nie są podobni do tej młodzieży, która sfrustrowana światem konsumpcji doprowadziła do rewolty 1968 r.? Nie udzielają jednoznacznej odpowiedzi, ale podobieństwo sytuacji jest wyraźne. Tak jak wtedy od zakończenia wojny, tak teraz od obalenia komunizmu minęło ponad 20 lat i był to okres budowy dobrobytu, rozwoju społeczeństwa demokratycznego. Pomimo 40 lat różnicy młodzież może dziś ulec podobnym frustracjom, a nawet doprowadzić do rewolty.

J.E.: Jest jeszcze jeden element podobny, wspólny – zakłamanie i zmystyfikowanie przeszłości pokolenia rodziców i dziadków. W Republice Federalnej

¹ Jerzy Kuberski (ur. 1930), pedagog. Od marca 1972 do lutego 1979 r. minister oświaty i wychowania. W okresie sprawowania tej funkcji dokonał nieudanej próby wprowadzenia reformy oświaty.

Niemiec przyczynił się on do eksplozji fali protestów młodzieżowych w 1968 r. Skoro – jak utrwał to przekaz potoczny – w czasie II wojny światowej właściwie wszyscy Niemcy grali w orkiestrach wojskowych lub byli kolejarzami, a do NSDAP należał tylko Adolf Hitler i Heinrich Himmler, to całkiem naturalne było pytanie młodych o wojenną przeszłość własnych dziadków i rodziców. Brak na nie odpowiedzi lub odpowiedzi niesatysfakcjonujące z moralnego i intelektualnego punktu widzenia rodziły frustrację, która – w połączeniu z innymi czynnikami – zaowocowała młodzieżową rewoltą. Wobec podobnego problemu stoimy dzisiaj w Polsce, chociaż naturalnie PRL nikogo nie okupowała i nie prowadziła polityki eksterminacyjnej. Był to jednak bardzo skomplikowany okres naszej historii. Jeżeli nadal będziemy młodym ludziom opowiadać, że wszyscy tkwiliśmy w oporze, że wszyscy działaliśmy w opozycji, a całe zło sprowadziła na kraj garstka agentów radzieckich i zdrajców, którzy wysługiwali się obcemu imperium i przez 45 lat zniewalali państwo, to możliwe, że pewnego dnia nasze dzieci nas zapytają: „mamusiu, tatusiu, babciu, dziadku, a ty co – cały czas działałeś w opozycji?”. Skoro wszyscy byliśmy przeciw, to dlaczego tak długo to wszystko trwało? Dziś można odnieść wrażenie, iż do PZPR nikt nie należał, a przecież – jak się szacuje – przewinęło się przez nią w sumie sześć milionów ludzi. Nie ma w zasadzie polskiej rodziny, w której ktoś nie należał do PZPR. W żadnej liczącej się partii politycznej nie jest tak, że nie ma w niej dzisiaj byłych członków PZPR. Nikt też przecież nie przyznaje się do przynależności do Związku Bojowników o Wolność i Demokrację, do Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego, Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, Ligi Kobiet czy związków zawodowych przed rokiem 1980 itd. A to przecież była przez lata nasza jedyna – mocno zakłamana – rzeczywistość. W pewnym sensie przez lata wszyscy kłamaliśmy, nawet biskupi i sam Karol Wojtyła, zanim został Janem Pawłem II. Jeśli bowiem przychodzili do katolickiego księdza funkcjonariusze bezpieki i pytali: „Czy na plebanii zbierają się »tacy«?”, co w latach czterdziestych oznaczało chłopców z lasu, później ludzi opozycji, a na końcu członków i sympatyków „Solidarności”, to przecież duchowny nie mówił: „Tak, przychodzi pan Nowak, pan Malinowski i pan Wiśniewski”. Oczywiście mówił: „Panowie, jestem kapłanem. Jacy ludzie? Ja się zajmuję wyłącznie posługą duszpasterską”. Nie można przez 45 lat na co dzień żyć w kłamstwie, a potem wziąć prysznic, umyć zęby i powiedzieć: „nic się nie stało”. W moim najgłębszym przekonaniu Polska i Polacy zasługują na wielkie narodowe rekolekcje, a jeśli komuś nie starcza wiary, to na wielki, gigantyczny narodowy seans psychoterapeutyczny. Zamiast tego mamy nieustający festiwal narodowego bohaterstwa i męczeństwa. Bez przerwy ktoś nam mówi, jacy byliśmy biedni i jacy zarazem byliśmy wspaniali. To jest bardzo duży problem i to, o czym mówiła pani Joanna, może (choć nie musi) się na nas zemścić. Może się zdarzyć tak, że zapłacimy za to podobną cenę, jaką zapłacili Niemcy w 1968 r. – z płonącymi samochodami i barykadami na ulicach wielu miast. Oczywiście bardzo bym tego nie chciał i chciałbym się w tym względzie mylić. Niejednokrotnie zresztą to my, historycy, podsycamy kolejnymi jednostronnymi książkami i hagiograficznymi audycjami radiowymi i telewizyjnymi te niedobre nastroje społeczne. W jakże wielu środowiskach obowiązuje taka oto wersja historii: Kościół katolicki jako całość znakomicie zdał egzamin w PRL, Wojsko Polskie *in corpore* również celująco zdało ten

trudny egzamin. Zręcznie usuwa się z jego historii zwalczanie podziemia niepodległościowego, Poznań 1956, Grudzień 1970 r., stan wojenny, bicie studentów w Marcu 1968 r. i udział w inwazji na Czechosłowację w sierpniu 1968 r. Podobnie polska oświata nie ma sobie nic do zarzucenia, wszyscy nauczyciele przez 45 lat kształcili młodzież, jak Pan Bóg przykazał. Naprawdę? Ale ilu ludzi, którzy mają dzisiaj powyżej 40 lat słyszało w szkole o Katyniu? A przecież powinni wszyscy słyszeć. Polskie dziennikarstwo także nie ma sobie nic do zarzucenia, ale ktoś przez te 45 lat zapełniał łamy gazet, przygotowywał audycje radiowe, potem telewizyjne, opracowywał kroniki filmowe, a wszystko przy „współdziale” cenzury prewencyjnej. To samo dotyczy środowiska naukowego, które też nie ma sobie nic do zarzucenia, też było opozycyjne, krytyczne, sceptyczne. Tylko dlaczego w bibliotekach jest tyle książek, do których nie bardzo chce ktokolwiek się przynajmniej, zwłaszcza tych z zakresu humanistyki i nauk społecznych?

Ł.K.: Myślę, że młodzież jako grupa społeczna pewnie jest z grubsza taka sama, jak wcześniej. Po 1989 r. całkowicie zmieniły się jednak otoczenie i możliwości działania. Stąd wynika trudność porównywania współczesnej młodzieży z ówczesną. Myślę jednak, że nie wypada ono źle. Upraszczając, można by postawić zarzut współczesnej młodzieży, że w porównaniu z rówieśnikami z lat osiemdziesiątych w nic się nie angażuje. Gdyby jednak dokładniej przyjrzeć się skali zaangażowania współczesnej młodzieży w różne zjawiska, nie polityczne, ale społeczne, kulturalne, to okazałoby się, że nie jest aż tak źle. Myślę, że dobrze by było, gdybyśmy nie kończyli zawołaniem znanym od czasów starożytnych, że kiedyś młodzież była lepsza niż dzisiaj. Jest dokładnie taka sama, tylko działa w zupełnie innych warunkach.

J.E.: Po zmianie ustroju w Polsce młodzieży jest pod pewnymi względami lepiej i łatwiej. W czasach PRL byliśmy wobec ludzi z Zachodu zakompleksieni, bo wyglądaliśmy gorzej od nich, byliśmy zwykle gorzej ubrani, mieliśmy dużo gorsze buty, a także nie znaliśmy porządnie języków obcych, bo można się uczyć angielskiego w Polsce przez 20 lat, ale nigdy nie być w Stanach Zjednoczonych, Kanadzie czy Wielkiej Brytanii i mówić „po angielskiemu”, a nie po angielsku. Pokolenie moich córek, czyli dzisiejsza młodzież, nie ma już wielu z tych problemów. Oczywiście mogą mieć i pewnie mają inne problemy, ale przynajmniej językowo są absolutnie „kompatybilni” z rówieśnikami z Zachodu. Nie muszą też obawiać się, że ktoś na Zachodzie – licząc na to, że otwiera im oczy – zada im pytanie w rodzaju: „Czy ty wiesz, że waszych oficerów w Katyniu to Sowietci w czasie wojny zamordowali?”. Mnie coś podobnego spotkało w latach osiemdziesiątych, kiedy to turecki przewodnik, mój młody kolega, zapytał o pewnego polskiego pisarza, a ja nie wiedziałem, o kogo on mnie pyta. Fakt, że to była także kwestia wymowy nazwiska owego pisarza, ale chodziło o Jerzego Kosińskiego, który dla tego młodego Turka był kimś znanym. Natomiast dla mnie, trzydziestopięcioletniego Polaka z PRL, bynajmniej nie był on znanym polskim pisarzem.

M.W.: Przejdźmy do ostatniego pytania. Jakie problemy dostrzegają Państwo i jakie postulaty badawcze chcą Państwo zaproponować w badaniach nad dziejami polskiej młodzieży po II wojnie światowej?

J.S.: Przede wszystkim ciągle brakuje naukowej syntezy, szerszego opracowania dotyczącego młodego pokolenia. Nowa, ważna książka Marka

Wierzbickiego ma charakter popularyzatorski, skierowana jest do młodzieży. Teraz czekamy na – może nawet kilkutomowe – całościowe ujęcie naukowe, głównie dla potrzeb akademickich.

J.E.: W pewnym sensie przypadek sprawił, że wiem o takiej książce. Powstaje w języku angielskim, pisze ją Belg, Tom Junes, ale nie będzie to dzieło wielotomowe. Pisze on o młodzieży w Polsce w 1944 r., a potem w latach, czterdziestych, pięćdziesiątych, sześćdziesiątych, siedemdziesiątych i osiemdziesiątych i to wszystko na niespełna 300 stronach, gdyż taki jest wymóg doktoratu. Myślę, że w dużym stopniu jest to postulat słuszny, co nie znaczy, że jestem przeciwnikiem kilkutomowej historii młodzieży w powojennej Polsce. To się nie wyklucza. Wartość książki Marka Wierzbickiego polega m.in. na tym, że ma ona zaledwie 200 stron maszynopisu. Nie sztuka napisać historię młodzieży w Polsce Ludowej na 5 tys. stron. Natomiast na 200 i żeby przy okazji jej nie zbanalizować, nie pogubić jakiś istotnych wątków – to jest zadanie bardzo trudne.

M.W.: – Zgadzam się, że przyszedł czas na opracowania szersze, o charakterze syntetycznym. Niekoniecznie może chodzi o jedną syntezę dziejów młodzieży. W ostatnich latach, zresztą w dużej mierze za sprawą IPN, przeprowadzono wiele badań cząstkowych nad dziejami młodzieży, dotyczących zwłaszcza oporu czy opozycji młodzieżowej. Marzą mi się teraz prace syntetyczne, gromadzące ustalenia z tych prac cząstkowych np. monografia dziejów konspiracji młodzieżowej w PRL, a oprócz tego monografie dziejów poszczególnych organizacji młodzieżowych, tych oficjalnych, które istniały w PRL. Jako harcerzowi marzy mi się synteza dziejów harcerstwa w PRL, bo to dotyczy nie tylko samego ZHP, lecz także szerszych zjawisk.

J.S.: Większość etapów w historii harcerstwa jest jeszcze nieopracowana.

M.W.: Tak, jest jeszcze kilka takich ważnych wydarzeń i okresów, które należałoby zbadać. Wydaje mi się, że takie prace powinny już powstawać, a może potem powstanie jedna wielka, wielotomowa synteza dziejów młodzieży w PRL.

Ł.K.: Dodałbym jeszcze jedną kwestię. Oczywiście zarówno syntez, jak i szczegółowych ujęć nigdy za wiele. Natomiast wydaje mi się, że obie główne sfery, o których dzisiaj mówiliśmy, czyli sferę oporu i zaangażowania, mamy jednak w jakimś stopniu rozpoznane – też za sprawą siedzących w tej chwili przy stole. Mamy jednak problem z tą sferą po środku, tzn. właściwie nie ma albo jest bardzo niewiele prac poświęconych kwestiom przystosowania, które było jednak postawą większości młodzieży w okresie powojennym i jej reakcją na system. Brakuje też społecznej historii młodzieży, niewykreślonej miarą zaangażowania organizacyjnego czy politycznego, ale właśnie zaangażowania kulturalnego, religijnego, sfery wartości itd. Postulowałbym zatem napisanie monografii na temat dziejów procesu przystosowania się młodzieży do systemu komunistycznego. Oczywiście z elementami przystosowania się całego społeczeństwa do komunizmu.

M.W.: Mamy pracę Krzysztofa Kosińskiego *Oficjalne i prywatne życie młodzieży w czasach PRL*, w której w jakiejś mierze rozpoczął ten proces badawczy.

Ł.K.: Właśnie to jest taki pierwszy przyczynek, ma ona charakter bardziej formalny, pewnych wypisów źródłowych niż syntetycznego obrazu.

M.W.: Dziękuję Państwu za udział w dyskusji.

Joanna Sadowska (ur. 1968) – dr hab., adiunkt w Instytucie Historii Uniwersytetu w Białymstoku. Zainteresowania badawcze: historia społeczno-polityczna Polski XX w., a w szczególności kwestie związane z młodym pokoleniem: działalność organizacji młodzieżowych, ideologie wychowawcze, systemy oświatowe. Najważniejsze publikacje: „*Sercem i myślą związani z Partią*”: *Związek Młodzieży Socjalistycznej (1957–1976). Polityczne aspekty działalności* (Warszawa 2010), *Dziedzictwo komunizmu w Europie Środkowo-Wschodniej* (Białystok 2008, redaktor), *Ku szkole na miarę Drugiej Rzeczypospolitej. Geneza, założenia i realizacja reformy Jędrzejewiczowskiej* (Białystok 2001).

Jerzy Eisler (ur. 1952) – prof. dr hab., dyrektor Oddziału Instytutu Pamięci Narodowej w Warszawie, specjalista z historii PRL oraz najnowszych dziejów Francji. Jest autorem i współautorem około dwudziestu książek, licznych artykułów naukowych i popularnonaukowych oraz recenzji. Opublikował m.in. *Philippe Pétain* (Wrocław 1991), *Polski rok 1968* (Warszawa 2006), „*Polskie miesiące*”, czyli *kryzys(y) w PRL* (Warszawa 2008).

Łukasz Kamiński (ur. 1973) – historyk; adiunkt w Instytucie Historycznym Uniwersytetu Wrocławskiego, dyrektor Biura Edukacji Publicznej IPN. Zajmuje się dziejami systemu komunistycznego w Polsce i Czechosłowacji, w szczególności historią opozycji i oporu społecznego. Opublikował m.in. *Polacy wobec nowej rzeczywistości 1944–1948* (2000), redaktor (wspólnie z G. Waligórą) siedmiotomowej syntezy dziejów NSZZ „Solidarność” (2010). Członek redakcji „Pamięci i Sprawiedliwości” oraz *Encyklopedii Solidarności*.

Marek Wierzbicki (ur. 1964) – dr hab., historyk, politolog, zatrudniony w Instytucie Pamięci Narodowej Delegatura Radom oraz Instytucie Politologii Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. W latach 1983–1988 studiował historię w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. W 1997 r. obronił rozprawę doktorską poświęconą stosunkom polsko-białoruskim pod okupacją sowiecką (1939–1941). W latach 1991–2000 badał problematykę stosunków narodowościowych i społeczno-ekonomicznych pod okupacją sowiecką, publikując m. in. książki *Polacy i Białorusini w zaborze sowieckim. Stosunki polsko-białoruskie na ziemiach północno-wschodnich II Rzeczypospolitej pod okupacją sowiecką 1939–1941*; *Polacy i Żydzi w zaborze sowieckim. Stosunki polsko-żydowskie na ziemiach północno-wschodnich pod okupacją sowiecką (1939–1941)*. Od 2000 r. zajmuje się problematyką stosunków władza-społeczeństwo w PRL. W 2006 r. wydał drukiem rozprawę habilitacyjną *Związek Młodzieży Polskiej i jego członkowie*. Jest też autorem książki *Młodzież w PRL* (Warszawa 2009).

